Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 47.
dnia 23. Października 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

OFIARY UCZUCIA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez Marję Grochowalską.

(Ciąg dalszy).

Tadeusz nie słuchał dłużej, okrzyk ten popędził go wśród nocy do drzwi lekarza, — szarpnął tak silnie za drut dzwonka, że w jednej chwili stróż mu otworzył a Tadeusz w dwóch skokach stanął przy drzwiach znajomego lekarza. Ten dopiero co wrócił od chorego i właśnie rozbierał się aby spocząć choć na chwilę, gdy Tadeusz stanął przy nim i rzekł:

— Konsyliarzu, na miłość boską chodź natychmiast, dziecko musi być bardzo słabe, bo ona rozpacza i ręce łamie, ratuj dziecię, zlituj się!

— Czyje dziecko chore? jaka ona rozpacza? skąd pan do tego wszystkiego tak raptem przyszedłeś do diabła? — odrzekł lekarz w złości znający Tadeusza że tenże wywoływał go z domu wśród nocy.

— Nie znam tej kobiety, słowo honoru panu daję, ale mieszka naprzeciw mnie, jest samą, widzę że ginie pod ciężarem boleści macierzyńskiej, więc pobiegłem po ciebie panie, ratuj, nie szczędź nic, ja zapłacę, ale jej nic nie mów, nie żądaj od niej na lekarstwo, daj mnie receptę, rób co chcesz, ale dziecko jej musi być zdrowe, choćby śmierć stała już u wezgłowia kolebki jego. — Doktor popatrzył badawczo w oczy Tadeusza, któren nie miał czasu dostrzedz nawet tego, tak naglił do wyjścia. W kilka minut stanęli u drzwi mieszkania młodej kobiety, drzwi te nie były zamknięte a z po za nich słychać było głośne łkania. Na odgłos kroków, kobieta trzymając dziecię na ręku i pochylona nad niem podniosła głowę a zobaczywszy dwóch mężczyzn wchodzących zawołała:

— Lekarza! lekarza! dziecko moje umiera!

Lekarz przystąpił do niej, w milczeniu z rąk jej wziął dziecko i położywszy na sofce, zaczął badać chorobę, na wydartej z notatki ćwiartce papieru napisał słów parę i oddając ją Tadeuszowi rzekł: „Natychmiast.“ Ten nie zatrzymując się ani na chwilę, wybiegł spiesznie, a w pół godziny potem wrócił z lekarstwem, po zażyciu którego jakoteż po odmienianych co chwila okładach, dziecię kilkomiesięczne zaledwie przestało stękać i charczeć, usnąwszy spokojnie. Wtedy lekarz rzekł do młodej matki, która całą uwagę mając zwróconą w jeden tylko punkt, zdawała się nie widzieć nic co się w około niej dzieje i siedziała z wlepionemi oczyma w dziecko na wpół tylko przytomne.

— Życie dziecka zależy od starannego i punktualnego zażywania lekarstwa i odmieniania okładów, musisz pani zebrać całą moc i przytomność umysłu, by ani chwilę nie opóźniać tego co ja przepisuję, rano przyjdę dowiedzieć się co się tu dzieje.

Wtedy kobieta powstała i wziąwszy rękę młodego lekarza i Tadeusza przytuliła je do ust spieczonych.

— Panowie — rzekła — nie wiem kto was tu sprowadził, nie znam nikogo, będąc zupełnie tu obcą, muszę uwierzyć w cud boski. Ja nie mam nic na świecie, nic tylko to dziecko, miejcie litość nademną, ratujcie je, albo zabijcie mnie razem z nim — i usunęła się na kolana, wznosząc ku nim błagalne oczy i cisnąc ich ręce w swoich.

— Uspokój się pani — rzekł wtedy Tadeusz — co sztuka i staranie najtroskliwsze przynieść mogą, nie zabraknie jej dziecięciu, resztę w woli Boskiej. Ja tu zostanę jeżeli pani sobie życzysz, by razem z nią czuwać przy kolebce jego.

— O zostań pan, zostań proszę, mnie tak straszno samej, tak okropne myśli mózg rozsadzają, bo widzisz pan to dziecko to moje wszystko, a ja mogę niezdolnem mojem staraniem zgon mu przyspieszyć. Panowie umiecie nieść chorym pomoc, zlitujcie się nademną, nie opuszczajcie samej zupełnie. — Widocznie młoda matka obydwóch mężczyzn miała za lekarzy i z całem zaufaniem oddawała im w ręce skarb swój jedyny.

Po wyjściu lekarza, Tadeusz wraz z młodą matką zasiadł przy kolebce śpiącej dzieciny, udzielając jej starań według przepisu, milczenie przerywając tylko od czasu do czasu, słowami ściągającemi się do tegoż przedmiotu; — nad ranem siły kobietę opuściły i klęcząca oparłszy głowę o poduszeczkę, na której

spoczywała główka dziecięcia, usnęła. Wtedy Tadeusz przyćmił lampę, bo i tak dzień się już robić zaczynał, a gdy dziecię przebudzone kwilić zaczęło, wyjął je ostrożnie i kołysał na rękach, by tylko nie obudzić spoczywającej kobiety. Nie zdawał sobie sprawy z chwil które przebywał, zdawało mu się że w obec tej kobiety powinien stanąć jako człowiek otaczający ją opieką i staraniem; i ten któren jak żyje, nie miał na ręku małego dziecięcia, dziś nieznane zupełnie napawał lekarstwami i tulił do siebie, by tem okupić chwilowy spoczynek stroskanej matki — blask wschodzącego słońcą obudził kobietę, zerwała się i spostrzegłszy dziecię w ramionach obcego człowieka, porwała mu je z rąk. Dziecię obudzone otworzyło szeroko oczka i uśmiechnęło się. Matka przemawiając do niego najtkliwszemi słowy, nie odrywała ust swych od niego, po chwili spojrzała na Tadeusza i silny rumieniec twarz jej bladą okrasił. Teraz dopiero w nim poznała nieznajomego z okna pierwszego piętra, któren od kilku tygodni prześladował ją śledczem spojrzeniem i rzekła zmięszana:

— Poznaję w panu mojego sąsiada, nie wiedziałam że jesteś lekarzem.

— Nie pani, nie jestem nim. Przebacz mi jednak że widząc z mojego okna ogrom boleści, którem byłaś pani przygnieciona, bez pytania o twe zezwolenie przyprowadziłem doktora — odrzekł bardziej jeszcze zmieszany Tadeusz. Milczenie trwało długą chwilę, które przerwała kobieta, mówiąc:

— Panu więc jestem winna życie mojego syna, słów i uczuć wdzięczności za to nie mam, ale bądź pan pewnym, że nie minie dzień jeden w życiu mojem by imię twe przy modlitwie mej nie wspomniałam, chciejże pan powiedzieć mi to imię! — i dwie łzy zawisły u jej rzęsów.

— Tadeusz Ilski — odrzekł tenże.

— A mnie pan znać możesz pod imieniem Celiny. Syn mój nazywa się Bolesław Grandicz — i zamilkła a twarz jej zbladł. bladością śmiertelną.

Od tej nocy pamiętnej w życiu obojga młodych ludzi, upłynęło zaledwie parę tygodni, a Tadeusza zaczęły dochodzić krzywdzące sławę Celiny wieści. Widziano go codziennie wchodzącego i wychodzącego od niej, z czem nie krył się zupełnie, dziecię wyzdrowiało i z każdem dniem nową pociechę przynosiło matce, które serdeczną radością dzielił Tadeusz. Spędzał godziny całe w towarzystwie młodej kobiety, która posiadając wykształcenie, równe jej świetnej piękności, posiadała przytem ujmujący wdzięk skromności nieudanej. Tadeusz oddał się tak bezwarunkowo uczuciu wyegzaltowanej miłości, której szukał tak długo, że nie pomyślał nawet by wybadać przeszłość młodej osoby, dopiero gdy zaczęto go prześladować tym stosunkiem, otworzyły mu się oczy i postawił sam sobie pytanie: „Kto jest ta, którą tak silnie kocham? Wdowa czy uwiedziona? a może mężatka? i na to ostatnie przypuszczenie, czuł że krew w nim stygła, wolałby wszystko inne, byle nie to co odbierało mu nadzieję połączenia się z nią, w czem skupił całe swoje przyszłe szczęście.

A Celina? Celina po Bogu kochała tylko syna swego i Tadeusza w którym widziała złączone wszystkie przymioty ciała i duszy, kochała go miłością, jaką tylko wzniosłe serca raz tylko w życiu kochać mogą; a jak zapatrywała się na swe ku niemu uczucie, niech nas bliżej z tem zapozna jedna kartka jej pamiętnika w któren pozwólmy sobie zaglądnąć.

„Dziś więc rocznica urodzenia mojego, skończyłam lat 19, 19 lat mój Boże! to przecież młodość w całej pełni, a ta młodość gdzie? o daleko, daleko po za mną! Styrana, zhańbiona, pokutuję bez własnej winy, a jednak nie skarżę się Tobie Panie! mam dwa jasne słońca, które w łasce Twojej i litości nademną strąciłeś mi z obłoków. Mam syna którego on uratował: to dziecko, to moje, moje własne, nikt nie ma do niego prawa, nikt mi go wydrzeć nie może, chyba Ty jeden Panie, a wtedy weźmiesz i mnie, o przed dwoma miesiącami jeszcze, jakże często grzeszyłam, myśląc że umrzeć z dziecięciem tem na łonie, tak by mi słodko było! Dziś, dziś nie chcę umierać, bo nie tylko dziecko moje kocham, ale kocham i jego. Dla czego nie dozwoliłeś Boże poznać mi go wtedy, gdym była czysta i bez winy, mogłam z podniesionem i dumnem czołem stanąć z nim przed ołtarzem i zespolić życie na zawsze? Dziś nie proszę Cię Panie, jak tylko aby usta jego nigdy nie powiedziały mi słowa, za które połowę życia mego bym dała Odtrącić go i zaprzeć się mej miłości dla niego, byłoby może nad siły moje, a jednak takby być musiało.“

Tadeusz nie śmiał ust zapytaniem otworzyć, by nie usłyszał wyroku, którenby go w rozpacz pogrążył, spędzali więc godziny obok siebie, plącząc się w rozmowie a obawiając dotknąć struny, która naprężona jednem słówkiem zerwać mogła stosunek ich wiążący. Nie mogło to jednak trwać długo, Tadeusz razu jednego wziął ją za rękę i rzekł:

— Pani, nie mów mi nic, nie chcę wiedzieć nic z twej przeszłości, jakakolwiek ona jest, nie zmieni to uczucia mojego dla ciebie, kocham cię, słowa tego nie wymówiły dotąd usta moje jeszcze nigdy, jest ono jednak za słabe by oddać całą moc uczucia, które mam dla ciebie, powiedz mi tylko że jesteś wolną i że zgadzasz się przyjąć mnie za towarzysza życia, a ja na klęczkach błagać cię będę, byś przyjęła moje nazwisko jako i serce które jest twoje.

Celina stała z oczyma w dół spuszczonemi a twarz jej to bladła bladością konających, to płonęła rumieńcem szkarłatu, nareszcie wyrzekła głosem cichym:

— Jam nie godna stanąć obok ciebie panie w tem życiu, jestem matką a nie byłam żoną!

Wtedy Tadeusz odetchnął i z głębi piersi rzekł:

— Bądź błogosławioną za to, że jesteś wolną, nie pytam o nic więcej. Dziecię twe stanie się mojem, a ja otoczę cię taką siłą miłości, że pomału zapomnisz o jego ojcu.

— Nie kochałam ani jedną chwilę jego ojca, nie kochałam nigdy w życiu nikogo, a jednak staję tam gdzie kobiety występne tylko stać mogą, i byłoby to niegodziwością z mej strony, zawierać związek z człowiekiem tobie podobnym.

— Nie Celino, byłoby to bezlitośną zbrodnią, odepchnąć serce tak silnie kochające, jak moje; nie badam twej przeszłości, do mnie należy przyszłość tylko, i tę chcę nierozerwanym łańcuchem skuć z twoją. Jesteś sama na świecie, a dziecię twoje, prócz twojej nie ma innej opieki, cienka to i słaba nić po której trudno synowi twojemu piąć się tam, gdzie powinien stanąć mężczyzna! Przyjm mnie pani za opiekuna swojego i jego, a przez źle zrozumiałą szlachetność, nie depcz życia, które stanie się dla mnie turturą bez ciebie!

Celina płakała cicho i długo, a potem rzekła:

— Posłuchaj pan opowieści krótkiej mojej przeszłości, nie wiele czasu ona zabierze, jednak zabrała całe moje życie i szczęście.

— Ojciec mój był znacznym urzędnikiem w Warszawie, nie mieliśmy majątku ale utrzymanie świetne które pozwalało rodzicom moim najstaranniejszem wychowaniem kształcić mnie, jedyne swe dziecko. Kochali mnie i pieścili, jako szczęście i pociechę swoją. Matka moja była bardzo chorowitą, a ojciec chociaż był dobrym mężem, mówiono że szukał przyjemności po za domem. Matka często płakała i mówiła tuląc mnie do siebie, że mnie nigdy nie wyda za mąż, bo nie ma małżeństw szczęśliwych. Ja rosłam, kształciłam się za jej staraniem i przyswajałam sobie wszystkie nauki z łatwością, bo miałam talenta i zamiłowanie do tego. W tym czasie matka moja do domu swego przyjęła nową służącą. Była ładna i młoda, była jednak z gruntu zepsutą, gdyż jak dowiedziano się potem była nawet już karana dwukrotnie więzieniem, raz za dzieciobójstwo, drugi raz za wspólnictwo w nieudanym otruciu. Z wejściem jej w dom nasz, łzy matki mojej z ócz nie obsechały. Z początku znosiła wszystko z anielską łagodnością, starając się uśmiechem, łzami i skargą pełną godności zwrócić ojca z drogi skandalicznego stosunku na któren wszedł — nic to jednak nie pomagało, owszem, brnął co raz dalej w niem, nie zważając ani na z każdem dniem słabszą żonę, ani na mnie dorastającą córkę, którą nareszcie matka biedna chcąc uchronić przed złym przykładem i lekceważeniem sługi, rozpościerającej władzę gospodyni w domu, oddała na pensję, wyrzekając się tej jedynej pociechy w życiu, mienia mnie przy sobie. Przychodziłam tylko raz w tydzień w niedzielę do domu, a z każdej bytności mej tamże, wynosiłam gorycz i ból serca, patrząc i odczuwając upokorzenie matki, które ją spotykało na każdem kroku. Ojca prawie nie widywałam, nie przychodził do mnie nigdy, a gdy ja przychodziłam do domu, nie zastawałam go w niem. Nieszczęśliwy człowiek uciekał zapewne od dziecka, któreby jak wyrzut sumienia stawało przed nim. Matka moja z dniem każdem czuła się bliższą grobu i skrócała sobie dnie życia, a wzmacniała ogrom cierpienia troską o mnie. Miałam wtedy lat 15, kończyłam prawie edukacje, prosiłam matkę by mnie wzięła do domu, bo widziałam że dnie jej są policzone i chciałam ją otoczyć miłością i opieką, na której jej zbywało aż do najmniejszej drobnostki. Nie chciała na to zezwolić, jednak jednej niedzieli gdy przyszłam jak zwykle rzekła:

— Moje dziecko, czuję się bardzo źle i widzę że jak oliwa w lampie, tak samo moje życie się dopala, zostań tu przy mnie, smutne było moje życie, rozwesel ty choć zgon mój swoją obecnością. Nadaremnie wzywałam lekarza, powiedział bez oszczędzania boleści dziecinnej że parę tygodni życia zaledwie jej zostaje. Ojciec wchodził raz na dzień do jej pokoju i zapytawszy o zdrowie, niechętnie więcej odzywał się do niej i wychodził.

Ta która była przyczyną katuszy moralnych i przedwczesnej śmierci mej matki, urągała jej swojem przesiadywaniem przy jej łożu, do którego na dwa tygodnie schroniła się przed ostatnią chwilą. Nadaremnie matka odwracała się od niej, zamykała oczy, nadaremnie ja byłam dla niej surową aż do rzucania jej słów pogardy, które zdawała się nie brać do siebie. Ona wiecznie miała coś do poprawiania przy matce, lub własnoręcznie przynosiła jej jedzenie które chora odtrącała, przyjmując z rąk tylko moich pożywienie i usługę. Bóg zlitował się nareszcie nad męczarnią mej matki — dnia jednego zażądała najprzód księdza, a potem ojca mojego, któren stanął w nogach jej łoża, bez łzy w oku ale ze spuszczonem czołem ku ziemi. Matka niezrozumiałemi już wyrazami, coś do niego mówiła pokazując na mnie, chciała pobłogosławić lecz nie miała już siły wyciągnąć rękę nad moją głowę, ócz tylko nie odwróciła odemnie klęczącej przy niej, wkrótce straciła przytomność, zaczęło się konanie, a zachodzące słońce ostatniemi promieniami oświetliło nieszczęśliwą sierotę całującą skostniałe ręce trupa swej matki. Nie rozpaczałam za nią, za nadto ją kochałam i za długo patrzyłam na jej łzy i życie odarte z tego poszanowania do którego każda kobieta i żona ma święte prawa, bym samolubnem uczuciem zazdrościć jej mogła spokoju któren nareszcie znalazła w grobie. Żal i boleść po niej zamknęłam w sercu i bez łez w oczach szłam za jej trumną prowadzona przez ojca, któren ani słówkiem jednem nie przyniósł ulgę dziecięcej żałobie. Mężnie wytrwałam do ostatniej chwili, gdy jednak usłyszałam stuk trumny i odgłos spadających na nią grud ziemi, ugięły się kolana podemną, wydarł się jęk jakiś, nie wstrzymany wolą z piersi moich i padłam na ziemię. Przyszłam do siebie już w domu, a pierwsze spojrzenie moje padło na tę, która zaprowadziwszy do grobu matkę, przyszła pastwić się nad córką, ukazując się jej oczom ubrana w suknie zmarłej. Nie byłam wtenczas pewną siebie, nie wiem skąd wzięłam sił tyle że rzu-

ciłam się na nią i drąc na niej ubranie, wypchnęłam ją za drzwi, zamknąwszy się na klucz. Upadłam wtedy na ziemię i dostałam kurczów z takiem krzykiem połączonych, że sąsiedzi oknem dostali się do mnie i odratowali. Na drugi dzień ojciec wszedł do mego pokoju, do tego samego z którego wczoraj wyniesiono matkę moją i rzekł:

— Zaczynasz od szaleństw których ja znosić nie myślę, nauczyłaś się od matki tego czem mnie życie zatruła, przyszedłem ci powiedzieć że matka twoja nie wniosła majątku żadnego, ja go nie mam także. Mam utrzymanie którem podzielę się z tobą, jeżeli będziesz uległą mej woli i uszanujesz tę, która za kilka miesięcy zostanie moją żoną a twoją matką. Jeżeli nie chcesz zgodzić się na to, dom mój przestaje być twoim. Masz skończonych lat 16 i powinnaś umieć sobie dać sama w świecie radę. — Nie czekał mej odpowiedzi gdyż znając mnie aż nadto był jej pewnym i wyszedł.

W kilka godzin opuściłam mieszkanie w którym przyszłam na świat i które było świadkiem tylu łez mej matki i mego sieroctwa. Udałam się wprost do tej pani w której zakładzie naukowem dwa lata przebyłam i opowiedziawszy jej wszystko, prosiłam by mnie przyjęła i dała utrzymanie za udzielane młodszym panienkom nauki. Dobra i względna przystała na to bez namysłu i starała się wszelkiemi sposobami wynagrodzić mi moje prace łożone dla uczennic, jakoteż umilić pobyt w swem domu. W kilka miesięcy ojciec mój ożenił się z tą która łzy tylko, śmierć i hańbę wniosła w nasz dom. Podła a zręczna potrafiła wyłudzać od ojca wszystko co miał, i zaczęła teraz dopiero pod osłoną jego imienia prowadzić życie jej godne, wprowadzając w dom zgraję gości w towarzystwie których ona znajdywała przyjemność, a od których ojciec chronił się najprzód do bióra w którem dnie całe zaczął przesiadywać, a później do kawiarni z której raz wyszedłszy w zimie złamał nogę, a w dwa miesiące później klęczałam znowu przy jego śmiertelnem łożu. Pielęgnowałam go sama, bo ta którą on nazwał żoną swoją, obrzucała go tylko przekleństwami nie skąpiąc i mnie najdotkliwszych obelg, które ja znosić musiałam z zaciśniętemi usty, nie chcąc w ostatnich godzinach życia opuścić ojca i zostawić go na pastwę szarpiących serce wyrzutów sumienia. Za trumną szłam wśród grona licznych jego kolegów, którzy zgromadzili się w orszaku pogrzebowem by dopełnić ostatniego względem zmarłego obowiązku.

Powróciłam do moich uczennic i życie płynęło mi spokojnie wśród pracy. Nie długo to jednak trwało niestety! Zbankrutował zakład mej dobrodziejki, a ona wyjeżdżając za granicę, ze łzami mnie żegnała błogosławiąc na drogę życia błogosławieństwem matki. Z jej polecenia przyjęłam obowiązek nauczycielski w bardzo zamożnem domu obywatelskim o kilka mil od Warszawy. Przyjechawszy tam dowiedziałam się dopiero, że Bóg obdarzył mnie odrobiną urody, gdyż z bezczelnością rzucano mi w oczy pochwały piękności. Brat samej pani, obrzydliwy cynizmem któren wyssał z długiej włóczęgi bezcelowej po świecie, zaczął mnie prześladować swoją namiętnością, znieważając ją nazwą miłości. Nie poprzestał na jawnie okazywaną mu przezemnie pogardzie, przeciwnie coraz więcej i z większą bezczelnością zwracał się do mnie, a gdy ja przywiedziona do ostateczności, zaniosłam skargę do siostry jego prosząc o uwolnienie mnie od obowiązków, on podły łotr przekupiwszy służbę, zbezcześcił mnie i zhańbił. Nie chcąc rozgłaszać mej hańby, w kilka dopiero tygodni opuściłam dom ich, odjeżdżając ze stałem postanowieniem odebrania sobie życia. Wkrótce jednak samobójczy mój zamiar spełzł przed nadzieją zostania matką, mogłamże dla uchronienia siebie od należącej mi hańby stać się dzieciobójczynią! Nie mogłam jednak zdobyć się na odwagę pozostania w Warszawie gdzie byłam znajomą; zebrałam więc wszystko co mogłam spieniężyć z zabytków jeszcze matki mojej i co złożyłam pracując sama, i wyjechałam tutaj. Tu przyszło dziecię moje na świat i napełniło serce moje niewyczerpanem uczuciem miłości. Teraz pan zjawiłeś mi się jak anioł opiekuńczy w chwili, gdy jedyną istotę wiążącą mnie z życiem, zatrzymałeś dla mnie sprowadzając lekarza, tu wreszcie dziś wspaniałomyślnie chcesz mnie zhańbioną, otoczyć miłością i obdarzyć imieniem, a syna mego opieką ojca. Dzięki ci panie, wdzięczność taka towarzyszyć będzie do grobu, — kocham cię, ale wyrzekam się mojego szczęścia dla szczęścia twojego. Tyś wart oblubienicy czystej i z dziewiczem wieńcem na skroni, a nie kryjącej swoją niesławę kobietę.

Długo jeszcze pracował Tadeusz i tylko wielka jego rozpacz skłoniła nareszcie Celinę do przyrzeczenia mu zostania jego żoną. Szczęście ich wtedy było bez granic, a on widział w niej nie tylko ideał wyśniony w swych marzeniach, ale i rzeczywistość która mu obiecywała rękojmię szczęśliwej przyszłości. Zaczął więc Tadeusz myśleć nad usłaniem gniazdka dla siebie i ukochanej, a ponieważ uważał że milej uśmiechało się jej życie na wsi, gdzie łatwiej mogłaby zapomnieć smutnej przeszłości jak wśród gwaru miasta, więc kupił piękną wieś i tam właśnie go poznaliśmy, gdzie wyjechał by jak najprędzej jako tako urządzić mieszkanie, a zaślubiwszy Celinę przywieźć ją tutaj, gdzie marząc o niej bezustannie, tworzył w snach swoich niebo na ziemi.

Dowiedziawszy się więc kto był ten który tak gościnnie w dom swój przyjął nieznajomych pogorzelców, wrócimy do dnia następnego.

Przy śniadaniu panie prosiły Tadeusza by pozwolił im koni dla zobaczenia co się też dzieje na niedopalonych zgliszczach ich siedziby — młody chłopak był wesół i trzpiotał się tak rozkosznie jakby go zupełnie nie obchodziły straty poniesione.

— Babciu droga! — rzekł tuląc płaczącą pieszczotliwie do siebie — i czegoż to się tak smucić, żyjemy i jesteśmy zdrowi, a kilka tysięcy mniej lub

więcej czy może przyczynić się do szczęścia. — Z całego zachowania trzech osób, widzieć się zdawało że babka była właściwie głową domu, kobieta zaś o złotych włosach jakby biernem narzędziem, poruszanej sprężyny woli babki i młodego samowolnego chłopaka. Tadeusz towarzyszył nowym znajomym, chłopiec widocznie cierpiał z powodu ręki, gdyż parę razy syknął z bolu, ale znać była to natura uparta, przyzwyczajona do niczem nie krępowanej własnej woli, dla tego ani prośby i pieszczoty babki, ani milczące łzy matki, ani przedstawiania Tadeusza, by pozostał w domu, a przynajmniej ograniczył się na spokojnej podróży, nie pomogły. Babkę tulił do siebie i całując po rękach, szeptał jej w ucho jakieś słowa. Matkę objął za szyję, za co biedna kobieta gotowa była z zamkniętemi oczyma pochwalić wszystkie jego pomysły. Tadeuszowi odpowiadał śmiechem tak głośnym i dźwięcznym, że aż ściany starego domu odpowiadały echem srebrzystem, a ząbki białością kości słoniowej migotały w karminowych ustach. Wynikiem tego było że zaledwie wsiedli do sanek, chłopak wyrwał lejce z rąk Tadeusza i zaciąwszy konie popędził jak wicher. Po przybyciu na miejsce zobaczyli teraz dopiero wszystko w nagiej prawdzie. Budynki gospodarcze dogorywały, powypuszczane bydło i konie zgromadziły się w jedną kupkę i przedstawiały widok jakby pielgrzymującej karawany, około pałacu stało mnóstwo ludzi, zdając się podziwiać zuchwalstwo strasznego żywiołu, któren śmiał targnąć się na tę siedzibę prawdziwie pańską. Pałac był murowany, więc naturalnie grube mury stały niewzruszone, dach tylko spłonął i duże kościelne prawie okna pozbawione szyb, świeciły czarnemi otworami; po za pałacem na śniegu, stały w bezładzie porozrzucane meble, kufry, oraz związane w kilkanaście prześcieradeł pościel i tłumoki, dalej wielka mosiężna klatka z białą papugą trzęsącą się od zimna, — tam wlekło się jakieś drogocenne futro, tam znowu w pospiechu pogubione srebro świeciło się na śnieżystem kobiercu, po nad tem wszystkiem jednak czuwało kilkanaście ócz argusowych, należących do starych zaufanych i wiernych sług domu. Szkoda była mniejsza jak się zdawało w pierwszej chwili, wiele rzeczy uratowano a budynki były asekurowane, mieszkać tylko nie było gdzie, oficyny wprawdzie ocalone, ale młody chłopiec oświadczył absolutnie że tam mieszkać nie będzie.

— Ależ moje dziecko najdroższe — odezwała się na to babka — cóż robić, wyboru nie mamy, przecież niedługo to zresztą potrwa. Luty się kończy a w połowie marca można już będzie prawdopodobnie rozpocząć restaurację pałacu. — Kobieta młodsza była widać przyzwyczajona do pomijania jej rady w ważniejszych kwestjach, gdyż nie odezwała się ani słowa, zawisłszy spojrzeniem i słuchem na ustach młodzieńca, któren też w jednej chwili odpowiedział z silniejszem postanowieniem:

— Nie zgodzę się na to babciu w żaden sposób, nie przespię ani jednej nocy pod dachem oficyn, jedźmy do miasta gdziekolwiek, gdzie chcecie, mieszkajmy tu w pałacu bez dachu, to mi wszystko jedno, ale tam nie, nie.

— Nie chciałem dotąd stać się paniom natrętnym prośbą moją, lecz gdy młody mój przyjaciel mimowoli staje po stronie mojej, chciejcie więc panie czas poprzedzający należyte wykończenie prac około pałacu przepędzić u mnie, ja proszę z całą szczerością bez słów wielu, ale serdeczną prośbą. Na drugi tydzień wyjeżdżam, będziecie więc panie najzupełniej swobodne, a chęci moje i rozkazy posłużą do tego aby panie niecierpiałyście wiele z powodu niewygód.

Kobieta o siwych włosach chciała się sprzeciwiać tej ofierze, ale młody chłopak podał małą dłoń swoją Tadeuszowi i rzekł:

— Dziękujemy i przyjmujemy, babcia nie potrafi długo gniewać się na mnie, więc skończy się na tem że sama panu szczerze podziękuje, a teraz jedźmy bo ręka moja coś nie grzeczna. Po wydaniu więc potrzebnych rozkazów, otulone panie futrami odjechały z powrotem, zabrawszy przytem dwa wozy naładowane kuframi i tłumakami.

Przybywszy dopiero do dworu Młynicy, rozpoczęły się podziękowania ze strony przybyłych pań, gdyż nawet i milcząca złotowłosa kobieta rzuciła mu słów kilka, ściskając z wdzięcznością rękę Tadeusza, któren nie bardzo obyty w towarzystwie dam, czuł się prawie zakłopotany w obec nich. Gdy panie odeszły dla przebrania się i wróciły potem do jadalnej sali na obiad, jakżeż zdumiał się Tadeusz gdy zamiast młodego chłopaka, weszła śliczna szesnastoletnia zaledwie panienka. Wbiegła i dygnąwszy mu z całą swobodą dziecinną i kładąc obydwie rączki swe w dłoń jego, rzekła śmiejąc się swywolnie:

— Oto przedstawiam się panu w prawdziwej mej osobie, jako Lonia hrabianka Zalińska, no i cóż, jak mnie pan wolisz, chłopcem czy dziewczyną? w mgnieniu oka mogę zadość uczynić życzeniu jego i być jednem lub drugiem. — Tadeusz zdumiony był do tego stopnia tą zupełnie dla siebie niespodziewaną metamorfozą że stanął wpół zaledwie przytomny, wpatrując się w to czarujące zjawisko. Babka śmiała się serdecznie, ściskając swywolną panienkę. Matka uśmiechała się uśmiechem niewysłowionego szczęścia macierzyńskiego.

Ażeby zaś zrozumieć stosunek tych trzech istot do siebie, jakoteż charakter Leoni musimy cofnąć się wstecz o lat kilkanaście.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kwiat tajemniczy.

(Ciąg dalszy).

IV.

DWA DOMY Z WIEŻYCZKAMI

Wspominaliśmy już, iż dom wiekiem omszały rodziny Michaud, stał na jednej z najstarszych ulic śródmieścia, wązkiej, pokręconej, ulubionej przez artystów, dla oryginalnych budowli, które ją zapełniały.

Na przeciw domu państwa Michaud, z wieżyczką w szczycie, o jednem wielkiem oknie weneckiem, dawną modą, z szybami w ołów oprawionemi, stał pałac równie stary margrabiów de Nangis. Oba domy były do siebie nadzwyczaj podobne, nawet i wieżyczki w szczycie były równiuteńkie. Tylko ta była różnica, iż nad drzwiami domu mieszczańskiego, stała skromna cyfra (E. M. Emerich Michaud), pierwszego domu założyciela, a nad pałacem dumnych margrabiów, rozpierała się olbrzymia tarcza herbowa: ramie dzierżące miecz z pochwy wyjęty z dewizą: „*Pour mon roi souvent, pour ma patrie toujour*!“ Data tu i tam, wskazywała rok 1512.

Iluż z domu mieszczańskiego wyszło radców, adwokatów, sądu nieubłaganych prezydentów; ileż dziewic pięknych patrzyło przez te okna, ileż matron poważnych i cnotliwych, na wzór pani Zuzanny, nie opuszczało prawie domowego ogniska. A nawzajem, z bram dumnego pałacu, ileż wyjeżdżało zbrojnych rycerzy, z giermkami i pocztem sług, aby iść bronić ojczyzny, jak to ich dewiza wskazywała.

Mimo różnicy w hierarchji społecznej, oba domy żyły w sąsiedzkiej zażyłości, a gdy podczas pamiętnej Nocy S. Bartłomieja, margrabia de Nangis, w ówczas do partji Hugenotów należący, znalazł schronienie z całą rodziną, w katolickim domu państwa Michaud, i uszedł śmierci; zacieśniło to węzły przyjaźni między obiema rodzinami.

Odtąd (margrabiowie de Nangis wkrótce na łono kościoła katolickiego wrócili) trzymano sobie w obu rodzinach dzieci do chrztu, rodzina de Nangis, powierzała wszelkie interesa mecenasom Michaud, dopomagając i wspierając u Dworu, swojemi wpływami dzieci mieszczańskie.

Szło wszystko jak najlepiej, póki inne prądy nie zaczęły nurtować, podkopując dawne przesądy, i psując odwieczny świata porządek. Gasł powoli nimbus, otaczający dotąd głowy ukoronowane, zacierały się w umysłach różnice kastowe. Wtedy to chrześniak margrabiego, Zacharjasz Michaud, w skutek procesu, który prowadził na rzecz markiza z gminą, będąc prawie codziennym gościem w pałacu des Nangis'ch, ośmielił się podnieść wzrok na ich jedynaczkę, prześliczną Blankę, a wzajem kochany, gdy Blankę chciano wydać za jej wuja rodzonego, hrabiego de Timbray, wykradł ją i w Anglji ślub wziął potajemnie.

Dwa lata nie wracała młoda para do kraju, wreszcie tęsknota za powietrzem rodzinnem, za rodzicami starymi, którzy czekali na jedynaka, jak na zbawienie, przemogła względy inne, i obawy... wrócili...

Wkrótce odniesiono wieczorem wdowie nieszczęśliwej, ciało męża skrwawione. Płatni zbiry, morderstwa dokonali. Spiorunowana boleścią nad siły, Blanka żyła jednak, dla syna, którego jej mąż zostawił. Był nim dziad dzisiejszego Leonsa Michaud.

Odtąd nienawiść nie ustawała między dwiema rodzinami. Rewolucja pomściła niewinną krew Zacharjasza. Hrabia Timbray i markiz de Nangis, zginęli pod giljotyną, wdowy po nich uciekły za pomocą sług wiernych za granicę, wraz z dziećmi nieletniemi, pędząc życie nędzne i smutne. Wróciły dopiero razem z *Bourbonami* do Francji, ale i na wygnaniu, rodowa nienawiść nie wygasła, plama zadana przez rodzinę Michaud, nie zatarła się w pamięci dumnych arystokratów.

Dziś w starym pałacu, mieszkała sama jedna wdowa po pułkowniku i markizie de Nangis, z córką jedynaczką, która dziwnym losu zrządzeniem otrzymała na chrzcie imię Blanki, które od owej tragicznej historji, nie było więcej użyte w rodzinie.

Blanka kończyła lat ośmnaście. Było to cudne dziecię, obiecujące rozwinąć się z czasem w kobietę uroczą, zachwycającą.

Twarzyczka owalna, przedziwnie czystych linji, przypominała Madonny Rafaela, oczy duże, czarne, patrzyły na świat trwożnie i łzawo, jakby cierpienie nie było obce tej młodej duszy, jakby ten pączek na w pół roskwitły, poznał się już z tchem mroźnym wichru niszczącego. Kibić jej wiotka, jak palma wschodu, zdawała się uginać za lada silniejszem podmuchem, a bujne sploty włosów, koloru złota roztopionego, dziwnie odbijały od oczów, rzęs i brwi, jak węgiel czarnych.

Płeć była białości przeźroczystej, istny listek białej róży, ledziutko w samym środku zaróżowiony.

Wyprosiła sobie u matki pokoik w wieży, i tam było jej całe królestwo. Pianino, i harfa, na której złotych strunach cudownie grać umiała; sztalugi i farby olejne, gdyż i malowała wcale dobrze, cały kosz kwiatów w koło niej, a w rogu na przeciw okna, w ramie bluszczowej, świecił z daleka portret jej imienniczki, biednej, wyklętej Blanki de Nangis. Znalazła go gdzieś na strychu. Nie był godny zająć miejsce poczestne w galerji przodków, skoro ta, którą przedstawiał, taką hańbą rod swój okryła. Młode dziewcze znało ową nieszczęsną historję. Ona jednak nie podzielała w niczem zawziętości swojej rodziny. Na portret patrzyła zawsze ze łzą w oku, z prawdziwym pietyzmem, wynaprawiała go sama, odczyściła, odmalowała, i kupiwszy za własne pieniądze piękne ramy, bluszczem jeszcze w dodatku otoczyła.

— Czy ja istotnie jestem do tego portretu podobną? — szeptała i w tej chwili, dziwną siłą magnetyczną, pociągnięta ku portretowi, i nie mogąc oczu oderwać, od tej pięknej, bladej twarzy. — Ciocia Irma zawsze

to utrzymuje. O! ja ciebie rozumiem, Blanko de Nangis! ja ciebie kocham za to żeś pogardziła całym blichtrem, którym chciano cię omanić, a głosu serca posłuchałaś... I jabym na twojem miejscu, tak samo była zrobiła! Mama mi wprawdzie zawsze powtarza, że miłość jest szaleństwem, bańką mydlaną, a utrzymanie rodu w czystości, to najpierwszy obowiązek, i dla tego, chce mnię wydać koniecznie za mego brata stryjecznego Raula de Nangis... ale ja go nie cierpię!... Czyż można iść za mąż bez miłości?... Czyż to się godzi... I ciebie tak wydać chciano, biedna Blanko, ale tyś pęta krępujące cię zerwała. aby upaść w ramiona ukochanego... Wydarła ci go zemsta okrutna, a jednak ręczę, że pamięć tych krótkich chwil szczęścia, na resztę życia ci wystarczyła... Może ona tak jak ja na tej wieży mieszkała, a tam naprzeciw w oknie okrągłym, ukazywała jej się piękna, dorodna postać Zacharjasza Michaud... tak blisko... nawet rozmawiać mogli z sobą, i... Ah!...

Krzyknęła nagle Blanka od okna odskakując, przez które była się do pół wychyliła. Na przeciw okno się również otworzyło, a w niem stał piękny, dorodny prawnuk Zacharjasza, Leons Michaud, który najprzód do domu zajechawszy, chcąc oszczędzić trudu starej Gertrudzie, sam obiecał zająć się przewietrzeniem górnych pokoi.

Z zachwytem wpatruje się Leons zdziwiony w to cudne zjawisko, w te oczy na pół trwożne, a na pół ciekawe, które dotąd oderwać się od niego nie mogą. Wpośród krzaków róż, biała, najpiękniejsza ich siostrzyczka. Kim jest to lube dziecię?...

Znika z pokoju, jak sen uroczy, a wzrok jego wytężony, spostrzega w rogu, jakby blade dzieweczki odbicie, portret na ścianie zawieszony, który zdaje się go błagać oczyma, zdaje się wyciągać ku niemu rękę przestrzegającą...

Czy lękasz się dla twojej wnuczki, podobnego jak twój losu, Blanko de Nangis?

* * *

Długo jeszcze stał Leons w oknie jak odurzony. Tak mu prędko znikła z oczu, jasnowłosa czarodziejka, iż nie mógł nawet dobrze jej się przypatrzyć. Więcej jednak nikt się wśród róż nie pojawił, tylko wiater przynosił mu ich woń upajającą, tylko ptaszki wesoło wkoło niego świegotały, jakby drwiły, że się dał złudzić, tą *Fata-Morgana*.

Nie błysnął mu więcej złoty promień w śród zieleni, odbity od jasnych warkoczy, nie ujrzał więcej uśmiechu słodkiego, łagodnego, na usteczkach, malutkich. dziecięcych...

Z ciężkiem westchnieniem, zawiedziony w nadziei, odstąpił od okna.

V.

TALIZMAN.

Leons domyślił się łatwo kto był owym zjawiskiem cudownem. Blanka de Nangis! Raz już tak krwawo zabłysło to imię w dziejach jego rodziny Jej matka nienawidzi samego wspomnienia o nazwisku Michaud. Ileż razy ta dumna pani odwracała się ze wstrętem od niego i od matki, jeżeli zeszli się gdzie przypadkiem. Dla czegoż dotąd Blanki nie widział? Ona wróciła nie dawno do domu od panien Wizytek z edukacji, a on tak mało bywał znowu w domu ostatniemi czasy. Czy te cudne oczy gazeli, umieją tak samo patrzeć z góry, na syna mieszczańskiego, jak to czyni jej matka? Czy to dziecię niewinne nauczono już także pogardy i nienawiści, czy ona uważa również za hańbę, krwią nawet nie zmazaną dla imienia Nangis'ów że kiedyś połączyło się z nazwiskiem Michaud. Czy ona wie na kim jej oczy spoczęły, komu posłała uśmiech anielski, kto rumieniec przelotny na jej blade lica sprowadził? Nie, to dziecię jest prawdą wcieloną, ono kochać tylko potrafi, i cierpieć... nienawiść nie znalazła by do niej przystępu. Wszak mówią, że matka wiecznie chmurną i ponurą, nawet dla jedynaczki nie ma słówka słodszego, nie ma uśmiechu. Biedna Blanka, tak piękna, a dotąd miłości nawet od matki nie doznała!

Takie myśli wirowały chaotycznie po głowie młodzieńca, gdy późnym wieczorem zdążał szybkim krokiem do pomieszkania panny Chênois.

Pociągnął silnie za dzwonek. Lekkie kroki dały się słyszeć na korytarzu i schodach; Żaneta własnoręcznie drzwi otworzyła, i aż w ręce plasnęła, uj[illegible] Leonsa.

— Pani w domu? — spytał zimno.

— O! dla pana zawsze! — dygnęła nisko [illegible]bretka. — Wprawdzie ubiera się panna Heloiza do baletu dzisiejszego, ale na pana czeka zbyt długo, i zbyt niecierpliwie, aby go przyjąć nie miała.

Leons wszedł do saloniku, pełnego woni odurzającej i wspomnień słodkich, a trujących. Ileż razy leżała w pozie rozkosznej na tej otomance, a on siedząc u jej nóg na stołeczku, wieczną miłość jej przysięgał. Krew gorąca falą skronie mu rozpierała, serce biło gwałtownie, zapach heljotropu, działał na nerwy jak silny narkotyk. Może lepiej nie czekać jej przyjścia? Z takim okrzykiem radości przyjęła wiadomość o jego przybyciu, czy będzie dość silnym, aby oprzeć się namiętnemu z jej strony powitaniu? W tem błysnął mu przed oczyma duszy obraz czarowny dzieweczki; pączka różannego, w śród róż orszaku. To dziecię świeże jak wiosna. Na jej licu, róż i blansz nie postał, i serce jej równie czyste i świetlane.

— To moja tarcza najpewniejsza przeciw tej Circe niebezpiecznej — szepnął sam do siebie, i ręką poszukał na piersiach medaljonu.

Portjera zafalowała, a na jej ciemnem tle odbiła się cudownie, lśniąca postać tancerki. Potoki gazy złotem przetykanej, otaczały ją jakby słońca gorącemi promieniami; kibić ujęta w gorsecik z żółtego atłasu, przeginała się rozkosznie, niby wiotka trzcina za najlżejszym wiatru podmuchem; w czarnych jak noc lokach lśniła nad czołem gwiazda brylantowa. szpilki gdzie niegdzie wpięte artystycznie, świeciły jak krople rosy w słońcu

migocące, pojedyńczemi dużemi brylantami; zwoje włosów spadając kaskadą na śnieżne ramiona, i pierś obnażoną, podnosiły jeszcze białość płci alabastrową, ale mimowoli zwracały myśl ku wężom strasznych *Eumenid*. Usta purpurowe uśmiechały się wprawdzie rozkosznie, ale w oczach czarnych, płonął ogień dziki, namiętny.

— Satanella! — mruknął z cicha Leons wpatrując badawczo w tę postać eteryczną, która nigdy jeszcze nie wydała mu się tak uroczą, tak demonicznie piękną i pociągającą.

Skoczyła ku niemu, a widząc jego minę ponurą i pogardliwą, przyklękła z gracją na jedno kolano, złożyła ręce na piersiach, i z kornie pochyloną głową, wyszeptała z akcentem dziwnie czułym i namiętnym zarazem.

— Witam mego pana najdroższego, witam jako niewolnica która żyć nie może bez uśmiechu twojego bez twojej słodkiej pieszczoty. Przecież i ty niewdzięczny stęskniłeś się za twoją Heloizą, i przyszedłeś nareszcie aby...

— Pani się mylisz...

— O! tylko nie w tym tonie wyniosłym i etykietalnym, przemawiaj do mnie panie mój! — rzuciła się mu na piersi, tuląc się do niego pieszczotliwie — Nie mogłeś tak łatwo zapomnieć tylu chwil rozkosznych, [illegible] w tem miejscu ze mną przepędzałeś.

Ze wstrętem wyrwał się z jej objęć i odsunął w głąb pokoju.

— Niestety! nie może tak łatwo zapomnieć dojźrały bolem mężczyzna, szaleństw które popełniał chłopiec nieopatrzny. Strata, którą poniosłem, wytrzeźwiła mnię jednak zupełnie, a wspomnienie o owych chwilach, rumieńcem wstydu okrywa czoło moje, na którem troska i tęsknota za matką pierwszą bruzdę wyryła.

— Ha! ha! ha! — roześmiała się wyzywająco i sarkastycznie — więc doprawdy świetny motyl, miałby się przemienić w szarą gąsienicę? Z miłego, wesołego nicponia, chcesz gwałtem zostać wzorem cnoty, i worki w młynie rachować! a ja ci przepowiadam, że prędzej, czy później, sprzykrzy ci się to młynarstwo, i zgaśnie ten ogień słomianny!

— Wolno pani tak sądzić — rzekł zimno Leons — ja atoli po to tylko raz ostatni tu się znajduję, aby cię na zawsze pożegnać, i prosić, abyś mnie również raczyła wymazać z pamięci. Drogi nasze rozchodzą się zupełnie. Pani zostaniesz na zawsze świetnym motylem, którego celem życia, jest roskosz i używanie, ja zaś przysiągłem matce umierającej, iż będę człowiekiem, w całem tego słowa znaczeniu. Chcę wypełniać ściśle moje obowiązki, i będę rachował raczej worki w młynie — jak się pani złośliwie wyraziłaś — niż owe tysiące, puszczane niegdyś z wiatrem, za pomocą pani i zielonego stolika. Żegnam!

Jednym skokiem, jak pantera podrażniona, we dzwiach stanęła, drogę mu zastępując.

— Nie Leonsie, ty tak odejść nie możesz! — rozkrzyżowała ramiona.

— To nie będzie twoje słowo ostatnie! Spojrz mi w oczy najdroższy! raz tylko!

I na przód wygięta, magnetyzowała go wzrokiem pałającym, w pozie cudownej, na pół gniewnej, a na pół roznamiętnionej. O! wszak Helojza sławną była w każdej roli.

Mimowoli, bezwiednie, zbiegły się jego źrenice, z temi oczami, jak czarne djamenty połyskującemi... już się chyli ku niej... już niemal dotyka się tych ramion łabędzich tak miłośnie, tak błagająco ku niemu wyciągniętych... jeszcze chwila, a będzie go znowu miała w swojej mocy!... W tem coś jakby go na piersi zapiekło, zabolało... to medaljon, po matce pamiątka...

— Są czary silniejsze niż twoje pani! — śmieje się odskakując, i z tryumfem podnosi do góry medaljon na sznureczku zawieszony. Odsuwa ją lekko od drzwi, zbladłą pod różem i gniewem dyszącą. Za chwilę słychać na schodach kroki jego.

— O! zemsta, to roskosz Bogów! — zgrzytnęła tancerka drobnemi ząbkami, i pięści kurczowe zacisnęła. — Gdybym tak dostała w ręce ten medaljon, tę tarczę która mi serce jego wydarła; gdyby zniszczyć można te jego świętości, widzieć go u nóg moich, aby go tak odepchnąć, jak on mię odtrącił i zdeptał bez litości! Ha! Satanella musi wezwać na pomoc szatana wcielonego. Chciałam z nim zerwać na zawsze, chciałam go więcej nie widzieć, tego łotra nikczemnego, który mnię zgubił, wciągnął, młodą, niedoświadczoną, w koło haniebne swoich spraw szatańskich. Myślałam, że Leons mnię uwolni, od tego ducha ciemności, i ku sobie podniesie... Nie chce mnię znać, odtrąca pokorną niewolnicę, łaknącą jednego spojrzenia łaskawszego, jednego słówka litościwego... pozna mściwą Furję! Dziś jeszcze piszę do Wiednia po Maksa. Adres mi swój zostawił. We dwójkę damy radę, temu dumnemu mieszczuchowi. Ta cnota okrutna, uleci niby bańka mydlana. Maks i medaljon dostanie w swoje szpony szatańskie!

VI.

MEFISTO.

Maj zajaśniał na niebie, z czarownym orszakiem, woni, zieloności szmaragdowej, koncertów słowiczych, ptasząt świergotu, jednem słowem: z całym urokiem wiosny, tej pory najcudowniejszej, tak w roku, jak i w życiu ludzkiem, a tak niestety krótko trwałej.

Leons wracał jak zwykle o godzinie trzeciej z inspekcji w młynach.

Chociaż mu pilno było znaleść się czem prędzej w domu, i patrzeć z wieży, czy mu się nie ukaże czarowne zjawisko naprzeciw, które teraz niemal codzień, jakby się umówili, o tej samej godzinie wśród róż widywał; zwolnił jednak biegu swoim arabczykiem. zdjął kapelusz, i z rozkoszą chłodził czoło, wystawiając je na lekki powiew majowego wietrzyka.

Usłyszał głuchy tentent, i w krótce dojrzał, wśród tumanów kurzu, jeźdźca na pysznym, karym rumaku,

który sadził wprost na niego. Skierował konia w bok, aby tamtemu dość drogi wolnej zostało, jeździec atoli był widocznie innego zdania, gdyż konia w miejscu osadził, równając się z Leonsa amerykanką, a zdejmując kapelusz, grzecznie zapytał:

— Czy mam przyjemność spotykać pana Michaud?

— A to co za licho! — pomyślał Leons — Pan prawdziwy Mefisto, a koń również na rumaka z piekieł wygląda.

W rzeczy samej dziwna to była postać. Oczy czarne, osadzone głęboko, i patrzące przenikliwie z pod brwi krzaczystych, i złączonych nad czołem, nadawały wyraz ponury całej fizjonomji.

Rysy ostro markowane. nos mocno garbaty, płeć matowo biała, bez kropli krwi, włos czarny i kędzierzawy, wszystko przypominało rasę semicką, chociaż akcent mowy był najczystszej wody, a siedzenie na dzielnym i ognistym rumaku, zdradzało niezwykłą w tej rasie nieustraszoność.

— Pan mnię nie poznajesz — uśmiechnął się nieznajomy, jakby w odpowiedzi na wzrok pytający Leonsa. — Dwa lata się kończą, gdym miał zaszczyt widywać pana codziennie w Wiesbaden...

— Aaa! rzekł przeciągle i z niesmakiem Leons — pan Brandt pomocnik bankierów, którzy grę trzymali. Niepotrzebnie się pan trudziłeś — dodał z naciskiem — nie gram więcej.

— I ja się zmieniłem zupełnie, wierz mi pan! — zapewnił uroczyście nieznajomy. — Grzechy młodości, zapędziły mnię aż tam, w tę jaskinię zbójecką. Rodzina mnię się wyrzekła, wychowano mnię powierzchownie, bez systemu, długów narobiwszy, nie mając się czego jąć, a znając doskonale język niemiecki, nazwisko moje de Lussac — tu z pewną dumą się wyprostował — zamieniłem na Branda, i w braku innego zajęcia, pomagałem w domu gry. Pańska fizjonomja już wtedy dziwnie mi była sympatyczną...

— Za wiele łaski — mruknął niechętnie Leons. — Nie przeszkadzało to jednak panu, ściągać moje tysiączki.

— A czy byłoby cię wtedy cokolwiek wstrzymało? powiedz pan sam — odrzucił nieznajomy. — Czy nie byłbyś ofuknął każdego, ktoby się był ośmielił, robić ci pod tym względem jakiekolwiek uwagi? Wierzaj mi pan, młodość musi się wyburzyć, i dopiero z wiekiem dojźralszym, poprawiamy się...

— Jeżeli same męty na spodzie nie zostaną — przerwał mu Leons złośliwie uśmiechnięty.

— I ze mną stało się podobnie jak z panem — prowadził rzecz dalej nieznajomy, jakby nie słyszał złośliwej uwagi. — Oddziedziczyłem majątek po stryju, wziąłem rozbrat z grą wszelką, i zostałem porządnym człowiekiem. Mam znaczne kapitały, oprócz majątku ziemskiego, i chciałbym wejść z panem do spółki. Czyż mi pan odmówisz, czy usuniesz pomocną rękę, od świeżo nawróconego?

Ton mowy zdawał się tak szczery, tak przekonywający, iż Leons sam nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Wśród rozmowy zbliżali się powoli do miasta. Gdy stanęli przed domem Leonsa:

— Czy pan tu mieszkasz? — spytał nagle nieznajomy.

— To mój dom własny — brzmiała odpowiedź lakoniczna.

— Pyszna, stara budowa! — zawołał de Lussak — musisz mi pan kiedyś pozwolić, poznać i obejrzeć wszystkie domu tego zakamarki.

— Służę panu i dzisiaj — rzekł grzecznie Leons zeskakując z wózka.

— Rzecz dla mnie zanadto ponętna, abym zdołał się oprzeć pokusie -- uśmiechnął się przemilająco nieznajomy również z konia zsiadając. Rzucił uzdę stangretowi Leonsa, i obaj panowie weszli do domu.

Z piątra na piątro wędrując, zaszli aż do wieżyczki.

W tej chwili, mignęła wśród róż główka Blanki, cofając się czemprędzej wgłąb pokoju, skoro spostrzegła, że Leons nie jest sam w oknie.

— Co za prześliczne *vis á vis* — krzyknął de Lussak z zachwytem — któż to taki?

— Nie znam zupełnie tej... pani. — Leons wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Ejże! — uśmiechnął się gość niedowierzając — w tak bliskiem sąsiedztwie, musisz pan wiedzieć przecie do kogo pałac należy?

— Oh! wiem! To siedziba odwieczna margrabiów de Nangis.

— A więc niezawodnie tą uroczą jasnowłosą czarodziejką jest piękna Blanka de Nangis?

— Być może...

— Mówisz pan tak obojętnie. A przepraszam! Zapomniałem że piękna Chênois jest w Paryżu, zatem...

— Z panną Chênois — przerwał zimno Leons, wcale się nie widujemy. Było to uczucie przelotne, które odrzuciłem, wraz z całym kramem, upadających mnię namiętności.

— Ona jednak pana jednego szczerze kochała.

— Bo nie dałem jej się okiełznać jak inni. Takie jednak istoty jak Heloiza, oprócz siebie, potrafią jeszcze tylko ukochać prawdziwie, brylanty i pieniądze w ogóle, za pomocą którego błyszczeć mogą.

— Sądzisz ją pan zbyt ostro.

— Tylko sprawiedliwie.

— A ta dama w czarnym stroju na balkonie, która nas mierzy bacznem okiem? Czy i tej pan nie znasz?

— Tę znam z widzenia. Jest to margrabina de Nangis.

— Postać dziwnie ponura, i nie sympatyczna.

— Tego bym nie powiedział. Pociąga w niej pewna melancholja. Musiała wiele cierpieć, wiele przebolała, i dla tego rysy jej takiem piętnem smutku naznaczone.

Istotnie margrabina, stała nieruchoma na balkonie, jak by ją tam przykuwała siła niewidzialna. W szeroko rozwartej źrenicy malował się niby przestrach, niby tryumf, a drżące i zbladłe usta szeptały:

— Czyżbym go nareszcie odszukać miała?!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZAPYTANIE.

Najnowsza Sielanka Ebersa.

(Dokończenie.)

Udało jej się jednak powstrzymać wybuch gniewu, za nadto gwałtowny i znowu milcząc przysłoniła ręką oczy, aby dalej śledzić morza powierzchnię.

— Nie rozumiem, co ci się stało? — zauważył Phaon łagodnie, odgartując w tył włosy z czoła. — Czy już teraz oczekujesz okrętu ojca twojego z Messeny?

— Czekam na Leonaxa! — odrzuciła gniewnie dziewczyna, kładąc silny nacisk na to imie, i wzroku od morza nie odrywając.

Młodzian potrząsł głową i kilka minut milczeli oboje.

Powstał wreszcie, zwrócił się twarzą do dziewczyny, wpatrzył się w nią tak czule i tak uważnie, jak by chciał jej obraz na zawsze w sercu zachować, dotknął się z lekka szerokiego rękawa jej *peplosu* i odezwał się w te słowa:

— Myślałem, iż obejdzie się bez tego... ale widzę, że trzeba cię o coś spytać...

Xantha oparła prawy łokieć na kolanie, i paluszki do ust purpurowych przytknęła, a lewą ręką po za siebie wyciągniętą trzymała się ławki marmurowej.

Oczy jej mówiły mu, iż słuchać go będzie, lecz milczenia dotąd jednem słowem nie przerwała.

— Mam dla ciebie Xantho jedno zapytanie!...

— Ty?! — przerwała mu żywo, z nietajonem zdziwieniem.

— Ja, a któż by inny? Jason wspominał mi wczoraj wieczór, iż nasz stryj Alkiphron pisał, prosząc o twoją rękę dla syna Leonaxa, i że ten jest dobrze zapisany, i może być pewny przyjęcia, tak przez Semestrę, jak i przez twojego biednego, chorego ojca. Byłem już na drodze do was wczoraj, aby cię zapytać, ile w tem jest prawdy, alem zawrócił, bo było już późno, i miałem inne sprawy do załatwienia, zresztą pomyślałem, żeśmy przecie zawsze do siebie należeli, i ty nie mogłabyś tak się do innego przywiązać. Nie lubię dużo mówić, a tego, co się w mem sercu dzieje, jużbym wcale słowami oddać nie potrafił, ale ty to wiesz najlepiej i od dawna. Teraz wyglądasz naszego krewniaka Leonaxa. Nigdyśmy go jeszcze w życiu nie widzieli oboje, i jabym sądził...

— Ale ja wiem — wybuchnęła młoda dziewczyna, i zerwała się tak gwałtownie, że wszystkie róże z jej kolan na ziemię się posypały — wiem, że to jest prawdziwy mężczyzna, prawa ręka ojca, młodzieniec zacny, który gardzi nocnemi hulankami, w towarzystwie zgraji rozpustników i nędznych flecistek, i który nie ubiega się o rękę dziewcząt, dla tego tylko, że są bogatemi dziedziczkami!...

— Przecież i ja tego nie czynię — odrzekł Phaon — ale twoje kwiaty leżą na ziemi...

To mówiąc schylił się młodzian, kwiaty pozbierał, a wręczając je lewą ręką Xancie, prawą chciał jej dłoń pochwycić; usunęła się jednak szybko i rzekła:

— Złóż je na ławce i pójdź do źródła, przemyć trochę oczy zaspane.

— Czyż wyglądam tak zmęczonym?

— Pewnie, choć się tu do południa wylegiwałeś.

— Alem też przez kilka nocy spał mniej niż mało.

— I jeszcze się tem chwalisz? — spytała Xantha ironicznie, z oczami pałającemi, z brwią groźnie zmarszczoną. — Nie jestem twoją matką i wolno ci wyrabiać, co ci się tylko podoba, ale jeżeli myślisz, że już do ciebie należę, dla tego, żeśmy się dziećmi bawili i żem ci dość chętnie rękę w tańcu podawała, toś się grubo omylił. Nie chcę męża, który z dnia robi noc, a z nocy dzień!

Przy ostatnich słowach, oczy Xanthy łzami się napełniły, na co Phaon patrzał niemy i zdumiony.

Podniósł na nią wzrok smutny i błagający, trąc czoło, aby coś z tego zrozumieć, wreszcie zaczynało mu się w głowie rozjaśniać, i odgadł powód jej gniewu i niechęci.

— Więc ty myślisz, że ja hulam po nocach?

— Tak! — krzyknęła Xantha, i wyrwała mu rękę, którą był tymczasem ujął w swoje dłonie, i odwróciła się od niego rozdąsana.

— Ach! — westchnął żałośnie. — W to byś nie powinna była nigdy uwierzyć!

Dziewczę spojrzało mu w oczy żywo, ze zdziwieniem i zapytało:

— A gdzieżeś ostatnich kilka nocy spędził?

— Tam na wzgórzu, w waszym gaju oliwnym, obok posągu bożka Hermesa.

— Ty! Tyś tam sypiał?!

— Jakeś się przestraszyła?

— Bo przypomniałam sobie łotrów zuchwałych, którzy nam tak wiele drzew okradli. Tam wyżej, w jaskini, siedlisko dzikiego Koraxa i jego synów złodziejskich...

— Dla nich to właśnie szedłem tam na całą noc, skoro zmrok zapadał. Twój ojciec chory, a Mopsus i inni stróże, pojechali jako wioślarze na okręcie...

— I tyś tam straż trzymał?

— Tak.

— Przez tyle nocy?

— Można się przespać i po wschodzie słońca.

— Jak ty musisz być zmęczonym?

— Wyśpię się za wszystkie czasy, gdy ojciec mój wróci z Messeny.

— Mówią, iż stara się tam dla ciebie, o Mentora bogatą jedynaczkę?

— Mojej woli w tem nie było!

— Phaonie!

— Cieszy mnie, żeś mi znowu dobrowolnie rączkę podała.

— Ty dobry, kochany i jedyny! Jakże mam ci dziękować?!

— Tylko nie dziękuj! Gdybyś nie była takim bezsensnym plotkom uwierzyła, nigdybym nie był wspomniał, o mojem czuwaniu tam na górze. Któż inny miał waszego dobra pilnować, póki Mopsus nie wróci?

— Ty! Ty! z pewnością! Ale miałeś mnię spytać o coś?...

— Pozwalasz? O Xantho! najdroższa, jedyna Xantho! Czy chcesz mnie, czy Leonaxa za męża?

— Ciebie, ciebie! i tylko ciebie jedynego, na ziemi! — krzyknęło dziewczę, i zarzuciło dwoje ramion na szyję młodzianowi; on zaś w uniesieniu cisnął ją do łona, i zcałowywał łezki z oczów, z lic, a nawet z ustek różannych.

W ich sercach odźwierciadlało się morze i niebo, słońce promieniste i wszystko co było pięknem i jasnem w ich bliższem i dalszem otoczeniu. Zdawało im się, iż uchem wewnętrznem, chwytają wszelkie dźwięki wesołe, odzywające się w naturze. Każde z osobna odczuwało, iż jedno w drugiem, posiadają świat cały, ze wszystkiemi tegoż radościami i szczęścia skarbami. Oni zleli się w jedno i tak sobie wzajemnie wystarczali, iż po za nimi, wszystko w nicość rozpływać się zdawało.

Minuta za minutą upłynęła godzina cała, a ona zamiast wić wieńce, owijała szyję jego białem ramieniem, zamiast w dal spoglądać, patrzyła w jego oczy, zamiast nadsłuchiwać czy kto się nie zbliża, wytężali słuch oboje, aby uchwycić to jedno słowo słodko szeptane, które zakochani wiecznie powtarzają, a nigdy nie znużą się tegoż wymawianiem, nigdy nie przestaną słuchać to słówko czarowne z zachwytem.

Róże leżały na ziemi, okręt z Messeny zawijał do portu, niedaleko pomieszkania Lysandra, a Semestra dreptała na lasce oparta ku morzu, aby Xanthę odszukać i w zastępstwie pana chorego, przyjąć wylądowującego konkurenta, niby Bóstwo z Olimpu zstępujące.

Z częsta nawoływała młodą dziewczynę, ale nadaremnie.

Gdy wreszcie obeszła gaik mirtowy, który dotąd osłaniał przed jej wzrokiem śledzącym parę zakochaną, ujrzała coś, czego sobie najmniej życzyła.

Xantha główkę do piersi Phaona tuliła, a on całował jej oczy, lica, a nawet — któżby był się czegoś podobnego za czasów jej młodości dopuścił! — całował jej nosek delikatnie wykrojony i u dołu lekko zaróżowany.

Na kilka minut skamieniała, nawet językiem, o dziwo! obrócić nie mogła, wreszcie z jej piersi ścieśnionej wydarł się krzyk ostry, przeciągły, w którym jednocześnie brzmiało oburzenie i skarga bolesna.

Xantha skoczyła w górę przestraszona, Phaon atoli nie ruszył się z miejsca, nie puścił ręki narzeczonej, i rzucił na starą okiem tak obojętnem, jak gdyby obok niego spadł owoc z drzewa.

Spokój młodzieńca niezachwiany, doprowadził starą do wściekłości i już usta otwierała, aby wylać potok słów obelżywych, gdy Jason podskakując jak młodzik lekko i posuwiście, wpadł pomiędzy nią a narzeczonych, popatrzył na swojego ulubieńca z uśmiechem najżywszej radości, oddał niski ukłon Semestrze i wesoło zawołał:

— Będzie z nich para, będzie, droga przyjaciółko! i mogą śmiało żądać twojego błogosławieństwa, bo przecież nie zechcesz łamać danej uroczyście przysięgi?

— Ja!... ja!... dałam?.... przysięgałam?... co?... kiedy?!... — zaskrzeczała dusząc się ze złości stara.

— Czy żeś mi dziś rano nie przyrzekła uroczyście — podniósł Jason głos i mówił powoli a dobitnie — czyżeś nie przysięgła, iż natychmiast zajmiesz się ucztą weselną dla tej tu pary, skoro ofiara przez ciebie wykarmiona, skłoni cudowną Kypris, aby te dwoje serc młodych połączyć raczyła?

— I przy tem obstaję, to tak prawda, jak że wszechwładna Bogini...

— Trzymam cię za słowo! — przerwał jej Jason. — Twoje prosię zabił kapłan na ofiarę, w moich oczach, i głośno błagaliśmy obydwaj Boginię, aby raczyła w Xanthy sercu zapalić pochodnię miłości dla Phaona.

Klucznica ścisnęła obiedwie pięście kurczowo, wojennym zapałem przyskakując do Jasona, i tak dobitnie okazując chęć oczu wydrapania, iż ten choć mężnej natury, i nie jednego już odyńca rozwścieklonego z nóg zwalił, uznał za stosowne cofnąć się póki czas, i ławką marmurową oddzielić swoją osobę od napaści starej.

Nie mogąc przez ławkę dosięgnąć go pazurkami, obsypała przynajmniej Jasona gradem słów dobranych:

— Dla tego to kapłan nie znalazł ani słowa pochwały, dla mojego prosiątka prześlicznego! Złodziejem jesteś, rabusiem nikczemnym! Moje złotko! mojego pieszczoszka, którego byliby wszyscy Bogowie, matce Erosa pozazdrościli, dla siebie zabrałeś, a na jego miejsce podrzuciłeś z pewnością potwora! do ciebie podobnego! i skłamałeś, że odemnię pochodzi! Teraz widzę jak na dłoni, całe wasze łotrostwo! Mopsus kochany ci dopomógł; ale tak prawda, jak...

— Mopsus — zaśmiał się stary — stanął do nas na służbę, a jeżeli piękna Xantha na to pozwoli, poślubi on czarnooką Dorippę. Odtąd co nasze, to i wasze...

— A nawzajem — Xantha mu wpadła w słowo — nasze wszystko do was będzie należało. Daj się przeprosić Semestro! Phaon musi być moim mężem, innego nie przyjmę, a ojca prędko także do tego nakłonię, spuść się na mnię!

Klucznica musiała uznać prawdę tych słów wypowiedzianych z naciskiem, gdyż jak wódz pobity, ale głowy, nie tracący, zaczynała myśleć o odwrocie z wszelkiemi honorami wojskowemi.

— Dałam się podejść i w pole wyprowadzić; ale com przyrzekła w chwili słabości, to tak jak bym przysięgła.

Żal mi tylko twojego biednego ojca, któryby tak potrzebował syna zapobiegliwego, energicznego, a właśnie zacny Leonax...

W tej chwili, jakby się stawiał na zawołanie, imię swoje usłyszawszy, wyszedł z gaju mirtowego, syn Alkiphrona z Messeny, wraz z Protarchem, ojcem Phaona.

Był to istotnie piękny, i wesołego oblicza młodzieniec, ubrany bogato, i wykwintnie.

Po mnogich uściskach, i serdecznych powitaniach wziął Phaon za rękę narzeczonę, podprowadził ją ku ojcu, i rzekł:

— Daj mi Xanthę za żonę ojcze, wyrośliśmy razem,

jak ten tam bluszcz z winogradem splątany, i nic nas już rozłączyć nie może.

— Nie, z pewnością nie! — zapewniła.

Xantha, tuląc się do piersi narzeczonego, i patrząc błagająco i ze ślicznym rumieńcem, to na stryja, to na młodego Messeńczyka

— Dzieci! dzieci! — zawołał Protarch — w puch rozbijacie moje plany najpiękniejsze! Agaristę, bogacza Mentora jedynaczkę, miałem tak dobrze, jak przyrzeczoną dla ciebie, i już nawet posag ze starym skąpiarzem był omówiony. I niechże tu kto powie „ja chcę! żeby to, lub owo jutro się stało!“ Miłą i dobrą jesteś i ty dzieweczko, i nie powiem, żebym się tobą nie cieszył, ale... na Zeisa gromowładnego! co na to powie brat Alkiphron, i ty mój Leonaxie?!

— Ja! — rzekł młody Messeńczyk z uśmiechem. — Przybyłem tu jako syn posłuszny, ale wyznać muszę, iż to, co tu zastaję, sprawia mi radość niesłychaną, gdyż teraz nie odmówią mi może po raz drugi rodzice, i pozwolą pojąć w małżeństwo Ismenę. córkę Kodeusa.

— I oto stoi dziewczyna, która słucha tych słów niegrzecznych, chętniej, niżeli Helena ucha nadstawiała, na pochlebne wyznania Parisa! — zaśmiał się Protarch wesoło, i najprzód Xanthę w oba policzki ucałował, potem syna do łona przycisnął.

— A teraz do ojca! — Xantha prosiła usilnie.

— Chwilę jeszcze — odparł Protarch — abym mógł pak dopilnować, które ludzie tu niosą. Chłopcy! uważać mi na skrzynię ze szkłem fenicejskiem, i ze strojami, dla matrony przeznaczonych.

Semestra przy pierwszem powitaniu zbliżyła się do swojego ulubieńca, opowiedziała kim jest, odebrała ojca jego pozdrowienia, ucałowała rękę Leonaxa, i po ramieniu go pogłaskała.

Otwarte wyznanie, iż inną niż Xanthę, życzył sobie poślubić, nie mało przyczyniło się do jej uspokojenia, a gdy jeszcze usłyszała o strojach dla matrony w liczbie mnogiej, oczy jej błysnęły radośnie, ale prędko je ku ziemi spuściła, pytając nieśmiało:

— Czy jest strój niebieski pomiędzy niemi? Kolor niebieski przekładam nad inne.

— I niebieski tam się znajdzie — Protarch odrzucił — a w jakim celu wszystko wybierałem, opowiem wam, tam, w domu. Teraz chodźmy do mojego brata biednego

Xantha najprzód pobiegła, ręka w rękę z narzeczonym, aby ojca oględnie i z czułością na wszystko przygotować, zanim reszta nadciągnie. Opowiedziała mu jak sprawiedliwie, on i Semestra Phaona osądzili, jaką mu ciężką krzywdę wyrządzali, i wreszcie upadła drżąca u nóg ojca wraz z Phaonem, gdy ojciec ze łzami, w oczach, kładł jej rękę w dłoń narzeczonego, w głos obojgu błogosławiąc.

— Zawszem cię kochał, ty czarniochu! — mówił głosem cichym i drżącym od wzruszenia — i cieszę się niewymownie, że Xantha ciebie właśnie na męża wybrała. A więc będę miał przecie syna! Słyszycie Bogowie! syna dobrego, silnego i przywiązanego! Pomóż mi się podnieść mój chłopcze. Jak dobrze się czuję! Czyż z tobą nie przybyło mi dwoje rąk, i para nóg zdrowych? Niech mi się tylko dziś stara na oczy pokaże! Kuglarz nauczył mnię jak mam sobie z nią postąpić!

Na ramieniu Phaona oparty, wyszedł radośnie uśmiechnięty przed dom, witając swojego pięknego bratanka, i brata ściskając najczulej.

— Pozwól Phaonowi mieszkać u mnię — rzekł po chwili — wkrótce dom mój będzie jego własnym, gdyż jestem słaby, a tak pomocy potrzebuję!

— Z serca przystaję! — Protarch zawołał — dla nas wszystkich tak będzie najlepiej, gdyż... gdyż... no! raz trzeba z tem wyjechać! Ja, szalona pałka mimo siwizny i łysiny...

— I cóż? — spytał żywo Lysander, a Semestra w najwyższem stopniu zaciekawiona, dłoń w trąbkę zwiniętą do ucha przytknęła, żeby jednego słówka nie utracić.

— Ja, — patrzcie na mnię tylko, — ja Protarch, syn Dyonizusa, nie mogłem już dłużej sam w domu wytrzymać, ze starem Jasonem i tym chłopcem, jak ryba milczącym, i dla tego, popełniłem głupstwo zapewne, ale zawsze nie jest to występkiem... i... i... w Messenie drugą sobie żonkę wybrałem!

— Być że to może? — krzyknął chory, wznosząc obie ręce w górę z wielkiego podziwu, Phaon atoli potakiwał tylko ojcu głową, i zamieniał wesołe spojrzenie z narzeczoną.

— Mojej matki młodszą siostrę wybrał sobie — dorzucił Leonax:

— Ale nie najmłodszą! — wpadł mu Protarch w słowo. — Za trzy dni odbędzie się dzieci wasze wesele, Phaon zostanie u ciebie mój Lysandrze, wraz ze swoją Xanthą, a ja zamieszkam nadal starą siedzibę z moją Praxillą. Skoro wy się pobierzecie wracam z Leonaxem do Messeny i żonkę z tamtąd przywożę.

— Od dawna nam brakło gospodyni — wtrącił stary Jason — i błogosławię panie, twoje śmiałe postanowienie

— Tak — mruknął chory. — Tyś był zawsze z nas wszystkich najodważniejszym!

— No tym razem — uśmiechnął się Protarch — byłem ostrożniejszym niż zwyczajnie. Praxilla jest wdową w wieku poważnym, i dla niej to pokupiłem owe stroje, o które pytałaś mnię Semestro.

— Dla niej? — jęknęła stara, boleśnie zawiedziona.

— Jest i chiton niebieski, w którym będzie jej do twarzy, bo włos jej już mocno siwizną przypruszony. Ale wesoła sobie jeszcze i krzepka babina, jakby młodą była, i nie jednej dobrej rady udzieli wam Xantho i Phaonie, na waszem nowem gospodarstwie.

— Ja odjeżdzam do Agrygentu! rzekła Semestra stanowczo.

— Jedź, jedź do córki! — skinął jej głową przyjaźni — pielęgnuj się na twoje stare lata, i żyj wygodnie z twoich oszczędności.

— Których sumę — dodał Leonax — mój ojciec o tysiąc drachm powiększy.

— Mój Alkipron, miał zawsze serce złote! — krzyknęła starowina.

— Odemnię dostaniesz drugie tyle na odjezdnem — zapewnił ją Lysander — a w dodatku niebieski Chiton, którego tak bardzo pragnęłaś.

Wkrótce po weselu Phaona z Xanthą, Semestra do córki się przeniosła.

Brzeg nad morzem, został na nowo, i bez sprzeczki naprawiony, gdyż cała ta przestrzeń należała znowu wspólnie do obydwóch braci, a Xantha znalazła w Praxilli matkę najlepszą.

Siedzenie marmurowe, na którem rozstrzygnęły się losy młodej pary, w długie lata później, gdy małżonkowie postarzeli się już żyjąc zawsze w równej zgodzie i miłości, ich wnuki i prawnuki nazywali jeszcze „Ławką zapytania.“

KONIEC.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.